

Okrzesik: Jestem czechofilem (2)

Data publikacji: 30.01.2011 10:15

□

Czytaj: [Okrzesik: Jestem czechofilem \(1\)>>>](#)

- Urodziłem się trzydzieści kilometrów od granicy z Czechosłowacją, w młodości jednak Czechosłowacja nigdy mnie nie interesowała, nie znałem nawet żadnego Czecha – mówił nam Janusz Okrzesik. Dziś publikujemy dalszy ciąg jego wspomnień.

Dziś jest prezesem TS Podbeskidzie. Wieloletni parlamentarzysta: poseł w latach 1989-1991 i senator w latach 1993-2001. Był radnym Bielska. Politolog, wykładowca akademicki, członek Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej. Redaktor (wraz z Małgorzatą Kaute) książki „Obywatele dyplomaci. Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka w Cieszynie i Bielsku-Białej” (2009).

Łukasz Grzesiczak: W roku 1989 zostaje Pan posłem. To dość dynamiczny czas. Czy zaszła wtedy jakaś głęboka zmiana w Pana postawie?

Janusz Okrzesik: Musiałem trochę ściąć włosy, bo nie chcieli mnie wpuścić do sejmu.

Pytam zarówno o postawy poszczególnych członków, jak i formację całego stowarzyszenia. W którym momencie pojawiło się przekonanie, że działania te mogą odnieść sukces?

Trudno jednoznacznie wskazać moment takiej cezury. Kiedy zaczynał się okrągły stół i Grażyna Staniszevska jechała do Warszawy, by jako jedyna kobieta wziąć udział w jego obradach, razem z moim najbliższym przyjacielem z podziemia dostaliśmy zadanie, żeby schować drukarnię i ukryć całą strukturę ponieważ zachodziła obawa, że ona zostanie aresztowana. Mówimy tu o lutym 1989 roku. Wtedy nie było żadnego powszechnego przekonania o sukcesie. Było jedynie głębokie przeświadczenie ludzi zaangażowanych w Solidarność, że trzeba rozmawiać z komuną, skoro bowiem przez osiem lat domagamy się porozumienia, należy jak najlepiej wykorzystać zaistniałą sytuację.

Jednak nie wszyscy chcieli rozmawiać...

Owszem, byli i tacy, którzy nie chcieli rozmawiać. Może mieli trochę racji, ale wówczas u nas takich dyskusji nie było. Może toczyły się we Wrocławiu czy Gdańsku. Tutaj byliśmy przekonani, że trzeba rozmawiać. Było nas niewielu, pewnie piętnastu, to była Solidarność na prowincji. Mieliśmy dokładne rozeznanie jak słabi jesteśmy, nikt nie chciał iść na Moskwę chcieliśmy tylko żeby ktoś wreszcie zaczął z nami rozmawiać. Więc kiedy pojawiła okazja, byliśmy przekonani, że trzeba ją wykorzystać. Z drugiej strony zachodziła obawa, że to jest podstęp, że zostaniemy aresztowani. Baliśmy się, że okrągły stół posłuży władzy jedynie do demaskacji członków opozycji. To wszystko działo się w lutym. Pomiędzy lutym a czerwcem pewnie pojawiła się jakaś myśl, że to się może udać, nie potrafię jednak wskazać dokładnego momentu. Po wielu latach dotarłem do mojej teczek esbeckiej i, rzecz zadziwiająca, która wspaniale oddaje ducha tamtych czasów, w raportach data czwartego czerwca nic nie zmienia. Podsluchy na moim telefonie były nadal. Pojawia się tam jedynie informacja, że w czerwcu zostałem wybrany na posła Rzeczypospolitej oraz adnotacja, że należy dalej prowadzić obserwację. Więc to nie była absolutnie przełomowa data, esbecy tego nie zauważyli. W dużej mierze my też. Co się zmieniło? Miałem wolny przejazd do Warszawy, ale nie wiedzieliśmy do końca, co z tego wyniknie. Pewne uspokojenie i poczucie sukcesu pojawiło się w lipcu, kiedy rzeczywiście weszliśmy do sejmu, i nikt nie strzelał, nikt go nie rozwiązał. Wtedy pojawiło się uczucie, że to jednak może się udać.

Wówczas także, niesłuchanie zintensyfikowała się współpraca z Czechami. To były miesiące absolutnie decydujące, pracowaliśmy z niesamowitą energią. Mieliśmy wiele do zrobienia zwłaszcza w Cieszynie, tutaj bowiem o Czechach nie dało się rozmawiać. Pamięć wojny i, mordów w 1919 roku, ekologiczny problem budowy koksowni, etc.

Problemy nacjonalistyczne, zarzut, że czechizuje się polskie dzieci na Zaozju. To były realne nastroje w tamtym czasie, pięćdziesiąt lat kompletnego milczenia na temat problemów polsko czeskich, olbrzymie kłopoty na granicy. Sytuacja absolutnie konfliktowa, zapalna. Kiedy zdjęto pokrywę z owego kotła, namiętności wybuchły, zarówno te dobre jak i złe. Miłość do Czechów, ale także nienawiść. Nagle jednak okazało się, że w Cieszynie i na Śląsku Cieszyńskim nasze działania przynoszą pewien efekt, to bardzo mocno zagrało. Prawdziwa polityka zaczęła się zatem we wrześniu, październiku, kiedy stało się widocznym, że w Czechach również coś się zaczyna dziać.

Podczas debaty w Instytucie Polskim w Bratysławie, zorganizowanej z okazji dwudziestej rocznicy tamtych wydarzeń, dyskutowano problem inspiracji przemian w Polsce i ich wpływu na wydarzenia w Pradze i Bratysławie. Obecni tam historycy, intelektualiści nie byli przekonani, że wydarzenia w Polsce i na Węgrzech pociągną przemiany w Czechosłowacji. Kiedy patrzy Pan na tamte wydarzenia, z dzisiejszej perspektywy, jak wyglądał ten czas wyjątkowego rozdwojenia?

Zapamiętałem to jako czas bez refleksji. Czas gorączkowej aktywności, by jak najszybciej zrobić jak najwięcej. By jak najbardziej im pomóc. Rzeczy, które mnie wtedy najbardziej zajmowały to nie „Karta 77” ani idea Europy Środkowej, lecz to jak wyszkolić drukarzy z Brna, żeby mogli zacząć budowę gazety, gazety o Polsce. Nie towarzyszyła temu wtedy jeszcze refleksja ustrojowa.

Był to chyba wyjątkowy czas. Pamiętam opowieść o tym jak poseł Adam Michnik jechał do Pragi i Bratysławy by spotkać się tam z przyjaciółmi dysydentami...

Pamiętam taką wyprawę, moją i Andrzeja Grajewskiego. Pojechaliśmy do Ostrawy, potem do Brna. Byłem posłem, z legitymacją mogłem sobie wejść do mieszkania, z którego piętnaście minut wcześniej wyszli estebacy, ktoś siedział tam z podbitym okiem i czekał na spotkanie z posłem RP. To były nieco kafkowskie klimaty, to prawda. Wówczas dla mnie to było jednak oczywiste, że jest zła komuna i dobrzy ludzie, którzy z nią walczą. To było jak gwiazdne wojny, jasna i ciemna strona mocy. Nie trzeba się było zastanawiać.

Czy rzeczywiście wydarzenia aksamitnej rewolucji w Czechosłowacji były wówczas, aż taki wielkim zaskoczeniem?

Nie. Myślę, że na to czekałem. Miałem poczucie wspólnoty z Czechami, którzy doprowadzili do tamtych wydarzeń. To było tak mocne, że czułem się niejako współautorem tego co tam się dzieje. Czekałem, choć nie było to przewidujące oczekiwanie, że to zdarzy się w tym czy kolejnym tygodniu, miałem jednak jasne przekonanie, że ów stan nie może trwać, system musi w końcu skorodować i rozsypać się. Był jednak jeszcze Związek Radziecki, były tanki w Polsce, jeszcze to wszystko trwało i było do odwrócenia. Jeszcze do roku 1991 to wszystko mogło się odwrócić. Miałem świadomość także tego.

Potem nadszedł rok 1991, o którym Pan wspominał i refleksja co dalej. Jak pamięta Pan tamten czas?

Nie wymyśliłszy nic rozsądnego, nie znaleźliśmy żadnej formuły współpracy, która by wykraczała poza kulturę. Kultura udała się, dzięki pomysłom i determinacji kilku ludzi z Cieszyna. Natomiast w sensie politycznym nie zostało nic. Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka pozostała kręgiem towarzyskim, lubimy się dalej, spotykamy, lecz...

Dlaczego?

Ponieważ nie ma Europy Środkowej.

Naprawdę?

Myślę, że jak już załatwiliśmy sprawę, która nas łączyła...

Wygoniliście rosyjskie czołgi...

Wówczas można już było głosować, wydawać własne gazety, zająć się biznesem albo polityką. Każdy zaczął robić to co dawało mu satysfakcję. Może to również pokoleniowa sprawa, zaczęliśmy zakładać rodziny, pojawiły się dzieci, wtedy zmienia się sposób życia, punkt widzenia. Część z nas przez jakiś czas była jeszcze w polityce, ale większość

nie. Większość jednak nigdy nie weszła do polityki.

Początek lat 90., był jednak czasem istotnych zrywów. Powstała Grupa Wyszehradzka. Wydawano dodatek do czterech gazet Europy Środkowej...

Tutaj jednak zajmowaliśmy się sprawami o nieco innej skali: mały ruch graniczny, otwarcie przejść, żeby można było chodzić po szlakach, by rolnicy, którzy mieli kawałek pola po drugiej stronie granicy, nie musieli mieć przepustek. Zajmowaliśmy się również tym by przetrwały szkoły polskie na Zaolziu. Demokracja w Czechach oznaczała bowiem dla Polaków na Zaolziu ogromne kłopoty, byli skomunizowani do cna, zupełnie nie potrafili odnaleźć się w nowej sytuacji. Panował wśród nich zupełny polityczny bałagan. Próbowaliśmy zatem znaleźć jakąś formułę tak by Czesi uznali istnienie mniejszości polskiej co wcale nie było takie oczywiste. Zajmowały nas zatem praktyczne problemy. Kiedy natomiast pojawiły się po obu stronach mocne samorządy, to nie mieliśmy już nic do zrobienia.

Co z ideą euroregionów?

Nigdy mnie to specjalnie nie interesowało. Pojawili się nowi ludzie, raczej urzędnicy niż rewolucjoniści. Zupełnie dobrze się złożyło, nie zdążyliśmy niczego zepsuć. Po prostu przyszli inni ludzie, o innej mentalności, innym podejściu do sprawy i zaczęli załatwiać swoje małe interesy, budować drogi i mosty.

Nie żałuje Pan, że idea Europy Środkowej okazała się fałszywa?

Bardzo żałuję, jednak taka właśnie ostatecznie się okazała. Jestem zwolennikiem konfederacji i sentymentalnie żałuję. Był to bowiem najlepszy rodzaj solidarności jakiej udało mi się doświadczyć. Kompletnie bezinteresownej, opartej na ludzkiej przyjaźni, na mocnych więziach osobistych. Absolutnie czysta, nie mająca żadnych interesów do załatwienia, najlepsza forma solidarności, w której udało mi się wziąć udział. To był fantastyczny rozdział, do dziś przetrwały przyjaźnie, w tym sensie wiele pozostało. W znaczeniu politycznym natomiast, nie zostało już nic. Nic.

Czy nie obawia się Pan, że przyszłe pokolenia będą miały pretensje, że nie wykorzystaliście Państwo wyjątkowej szansy? Jeżeli ktokolwiek mógł stworzyć konfederację czy pewien rodzaj zintensyfikowanej współpracy środkowoeuropejskiej, to tylko Państwo.

Nie mieliśmy takiej szansy. Żałuję, że tak to się potoczyło, ale tylko w warstwie sentymentalnej. Bowiem tak naprawdę nie mieliśmy takiej szansy. Żaden kraj, który po pięćdziesięciu latach niebytu zyskuje suwerenność, nie poświęci z niej ani kawałka przez pierwszych kilka lat, szczególnie na rzecz sąsiadów. To jest nierealne. Pomysły konfederacyjne mogą zyskać poparcie w sytuacji przymusowej - a my w takiej nie byliśmy - albo w sytuacji powszechnej akceptacji dojrzałej koncepcji politycznej i funkcjonowania stabilnej demokracji. Jak można było zrobić konfederację kiedy Czechosłowacja rozpadała się tak gwałtownie? Czesi nie chcieli być ze Słowakami, a co dopiero budować jakąś strukturę z Polakami. Żałuję, że współpraca w Grupie Wyszehradzkiej nie wypadła satysfakcjonująco. Okazało się jednak, że interesy państw są rozbieżne. W polityce międzynarodowej kierowanie się sentymentami byłoby absurdem, to jest dziedzina interesów, wyłącznie twardych interesów. Tak chyba powinno pozostać. Nie było wspólnego interesu Grupy Wyszehradzkiej. Można wszak zadać pytanie dlaczego ani Czesi, ani Słowacy, ani Węgrzy nie chcieli polskiego przywództwa w regionie? O, to jest istotne pytanie. Przecież Pan doskonale wie jaka była tu przyczyna... Traktowali wszystkie nasze pomysły polityczne z pewną podejrzliwością. Kilka lat przyjaźni dysydentów z jednej i z drugiej strony nie sprawi niestety, że takie resentymenty narodowe znikną.

Obawiali się zakusów czterdziestomilionowego kraju wobec pięć, czy dziesięciomilionowej wspólnoty...

Oczywiście. Można było mówić o konfederacji w sytuacji zagrożenia ze strony Hitlera, ale nie w sytuacji, w której Hitler upadł i po pięćdziesięciu latach upadł też Stalin.

Rozmawiał Łukasz Grzesiczak

Czytaj: [Okrzesik: Jestem czechofilem \(1\)>>>](#)